

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Różyczka i bratek.

POWIASTKA DLA DZIECI.

Hen, daleko, daleko,
Po za siódma gdzieś rzeką,
Tam, gdzie słońko zachodzi
Pośród światła powodzi,
Między dębów konary
Domek skryty był stary.

W domku żyła rodzina:
Dziadek już starowina,
Ojciec z matką — eni ludzie,
Którzy w cnocie i trudzie,
Pracowici, wytrwali,
Dziadek się dochowali.

Ledwie śladem miał latek
Starszy synek ich, Bratek;
Pięć lat miała Różyczka,
Piękna z serca i liczka;
Było w domku wesoło,
Każdy jasne miał czoło.

Dzieci owe, pocziwe,
Dla rodziców swych tkliwe,
Zdobne w wiarę i cnotę,
Główki swe jasne, złote,
Podnosiły do góry,
Tam, gdzie hen, ponad chmury,
Wśród niebiańskiej krainy
Ocenia ludzkie czyny,
Między gwiazdy złotemi,
Bóg, Król nieba i ziemi.

Pośród szczęścia radości,
W szczerzej pracy, miłości
Płynęły dziwonki całe.
Lecz szczęście nie jest trwałe,
I, jak często tak bywa,
Przyszła beleść prawdziwa.

II.

Za rodziny tej chata
W zieleń strojny bogato
Wzrastał bór nieprzebyty,
A wysokie drzew szczyty,
W bezustannym drząc ruchu,
Przy wietrzyka podmuchu
Wciąż szumiwały, gwarzyły.

Choć brzeg lasu jest miły,
Choć w nim kwiatków tysiące
Na zielonej łnie łące —
Ale strzeż się go dziatwo,
O nieszczęście w nim łatwo.
Bo mieszkała tam w chatce,
Jakby dziki zwierz w klatce,
Brzydka z serca i lica,
Okrutna czarownica.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z życia Jasia.

(Ciąg[dalszy].)

— Niech pan nie otwiera, mój złoty panie, to pewnie złodzieje stukają!...

— O! zaraz tam mają być złodzieje — odpowiedział pan Kaliński,

— Ach! jak ja się boję — szeptał przestraszony Jasio.

— To wstyd na mężczyznę bać się — zgromił pan Kaliński.

Jaś zapanował nad sobą i już nie odzywał się ani słówka, słuchając tylko pilnie, co dalej wyniknie.

— Kto stuka? — pytał tymczasem pan Kaliński.

— Myśmy zblakani w górach turyści — odezwał się głos poza oknem — noc zaskoczyła nas i teraz nie wiemy, gdzie się obrócić, prosimy o schronienie na noc; głodni jesteśmy i znużeni bardzo.

Pan Kaliński wstał, a przekonawszy się, że zblakani istotnie są turyści, że pomódz im trzeba, zapalił światło, otworzył drzwi i przyjął ich jak najgościniej. Z rana po dłuższym wypoczynku, puścili się oni w podróż do pobliskiego miasteczka, z wdzięcznością dziękując panu Kalińskiemu za gościnę.

Pewnego razu, wróciwszy z wycieczki w góry, pan Kaliński zastał na poście list od kapitana. Rozerwał szybko pieczętkę i zaczął czytać. Wtem nagle zadrżał i spojrzał takim dziwnym wzrokiem na Jasia, że chłopczyk zawołał:

— Co się panu stało?

— Nic, nic — odpowiedział pan Kaliński — zmęczyłem się widać zanadto, ale to przejdzie, uspokój się!

Przyszedszy do domu, pan Kaliński zamknął się w pokoju i długo siedział zamyślony, zastawiając się nad tem, co przeczytał. Nie miał już odwagi poddać się nadziei, która go tyle razy zawiodła. A jednak teraz zdawało się, że ta nadzieja nie będzie już tak płonna jak poprzednio.

Kapitan donosił mu, że wpada na ślad zaginionego.

„Nie jest to jeszcze nic pewnego — pisał — ale mam niektóre dane, że Drzewiński żyje.“

Wiadomość ta wzruszyła głęboko pana Kalińskiego; w pierwszej chwili chciał powiedzieć o tem Jasiowi, chciał wykrzyknąć, przyciskając go do serca:

— Nie jesteś sierotą!

— Może to wszystko jednak być zawodnem — po chwili powiedział sobie w duchu — po co więc Jasio ma się łudzić?

W końcu listu kapitan dodawał, że najwcześniej dopiero za trzy tygodnie będzie w Tryeście. Pan Kaliński westchnął; te ciągle zwłoki, to wieczne odwlekanie, męczyło go niewymownie.

— Wolałbym już najgorszą pewność — myślał — niż to nieznosne oczekiwanie złej wieści, które w końcu staje się prawdziwą męką... Ha, cóż robić? Muszę czekać, niema na to rady...

Uspokoiwszy się w ten sposób, wrócił do zwykłych zajęć, a Jasio używał zupełnej swobody, nie domyślając się trosk, które dręczyły jego opiekuna.

Upłynęło dni kilka; piękna dotychczas pogoda zamieniła się w ulewny deszcz, który zatrzymał w domu pana Kalińskiego i Jasia.

— Ach, Boże, czy ta niepogoda nigdy się nie skończy! — westchnął chłopczyk, gdy wstawszy jednego ranka, ujrzał tak samo szaremi chmurami zasnuć niebo i także same duże krople deszczu, spływające po szybach. Mgła była tak gęsta, że nawet najbliższe szczyty gór ginęły w niej zupełnie.

Pod wieczór deszcz zamienił się w ulewę; szum liści mieszał się z szumem wód spadających z gór, wiatr szarpał drzewami, jakby je chciał powyrywać z korzeniami.

Gospodarz domu był bardzo tem zaniepokojony.

Na zapytanie pana Kalińskiego o przyczynę niepokoju, odpowiedział, że potok górski wezbrał po deszczu i wystąpił z łożyska, zagrażając zalewem dolinie.

— Woda może porwać wszystko — mówił wieśniak — może zabrać dobytek, zburzyć chaty i zaskoczyć nas tak, że człowiek z życiem nie ujdzie.

— Więc cóż czynić? jak się ratować? — zapytał pan Kaliński zaniepokojony.

— Ha czuwać będziemy całą noc, aby zapobiedz o ile się da nieszczęściu.

Jeszcze wieśniak nie domówił tych słów, gdy straszliwy huk dał się słyszeć, wywołując w górach długotrwałe echo.

— Wielki Boże! — krzyknął wieśniak, woda zalewa dolinę!

Pan Kaliński przeraził się. Wtem przybiegł jeden z wieśniaków oznajmiając, że niebezpieczeństwo minęło. Wezbrana woda spłynęła w pobliski wąwóz, rozerwawszy z hukiem skaliste przeszkody.

Na drugi dzień deszcz przestał padać, niebo zupełnie się wypogodziło.

— Trzeba już wracać do Tryestu — pomyślał Kaliński. — Jeśli nie spotkam się tam z kapitanem, to powrócę z Jasiem do kraju. Dość już tego włóczęgostwa po obcych krajach i łąkach, a przytem trzeba się zająć poważnie nauką mego

wychowanka; takie kształcenie dorywcze nie prowadzi do celu.

Tak rozmyślał zacny ten człowiek, spoglądając z upodobaniem na Jasia, który z zarumienioną twarzą i błyszczącymi oczyma biegał w podskokach po dziedzińcu.

Pomimo rozrywek, którym się Jasio rad oddawał, zdawało się panu Kalińskiemu, że kilka razy dostrzegł błyszczące łzy w jego oczach.

Zaniepokojony tymi objawami, starał się w delikatny sposób dowiedzieć o ich przyczynie. Na kilkakrotne zapytanie pana Kalińskiego, Jaś z początku zapewniał, że mu nic nie jest, wreszcie rozplakał się serdecznie, tak, że pan Kaliński z trudnością zdołał go uspokoić.

— Co się stało, moje dziecko? — pytał go troskliwie — czy ci co dolega? — powiedz...

— Ależ nie — odparł chłopczyk, starając się powstrzymać łzy — tylko... tylko...

— Śnił mi się dziś tatuś i babcia — odpowiedział chłopczyk, i znowu łzy zabłysły w jego oczach. Ach, jakże jabym pragnął zobaczyć tatusia i dziadków!...

Słowa Jasia rozrzewniały pana Kalińskiego. Ależ nie płacz, mój Jasiu — rzekł pocieszająco — od babci mówimy przecież często wiadomości.

— Ale nie od tatusia? — przerwał chłopiec, spoglądając przytem błagalnie w oczy swego opiekuna.

— Wprawdzie od twego tatusia dawno nie było żadnej wieści, ale przecież Bóg da, że się czegoś dowiemy — mówił pan Kaliński, głaszcząc jasne włosy chłopca. — A teraz idź, zapakuj w koszyczek śniadanie, to wyruszymy gdzieś w góry.

Jaś pobiegł do domu, aby spełnić polecenie dobrego opiekuna, który ścigał go smutnym wzrokiem i wreszcie rzekł z westchnieniem:

— Biedaczek, serdecznie mi go żal!

XXIV.

— Jasiu, pójdziemy na stację pocztową do wiedzieć się, czy czasem niema do nas jakich listów — rzekł pewnego rana pan Kaliński.

Do miejscowości, z kąd odbierano listy i gazety, było bardzo blisko, nie więcej, jak pół godziny drogi. Ścieżka, wijąca się przez dolinę ponad strumieniem, prowadziła do osady, składającej się z kilkunastu domków, zbudowanych u podnóża góry.

Przecznice nie omyliło pana Kalińskiego, gdyż na pocztę zastał rzeczywiście list pod swoim adresem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dzieci, Zuchelek i Wilczysko.

(Ciąg dalszy.)

Piesek kilka razy zapuszczał się w krzaki i tam dopiero szczekał zawzięcie, ujadł. Nie było nie takiego: po prostu spostrzegł wiewiórkę, która uciekła przed nim na drzewo, i szczekał. Ale Oglonek i Oglonka nie wiedzieli, dla czego Zuchelek szczeka; myśleli, że może Wilczysko jest w gąszczach, i oglądali się na rodziców. Wtedy Oglen wyjmował z ust fajkę, gwizdał, a Zuchelek zaraz potem wyskakiwał z krzaków, nadzwyczajnie uszczęśliwiony, że go pan przyzywa do siebie. Jakże on się rzucał z radości, szczekał, jak się łąsił do starszych, do dzieci! I znowu popędził naprzód, tylko się kudelki na nim trzęsły.

Ano, przyszli do wsi, stanęli pod kościołem i teraz dzieci zupełnie już zapomniały o boru, o Wilczysku, a nie mogły wyjść z podziwienia, gdy tam zobaczyły ogromną moc ludzi. Czyż one się mogły spodziewać, żeby tyle narodu było na świecie!

Tak dopiero, nim weszli do kościoła, ojciec kładzie palec na nosie i mówi do pieska:

— Zuchelek, leżeć tu!

— Tatusiu, czy to Zuchelek z nami nie pójdzie? — zapytuje Oglonka.

— Co po psie w kościele, kiedy pacierza nie umie? — odpowiedział ojciec.

Zaczerwieniła się Oglonka, gdyż jej żal było Zuchelka, a ona też ciągle myliła się w pacierzu. Piesek usłuchał pana, położył się przed kościołem, a rodzice i dzieci weszli wewnątrz.

W kościele było tak pięknie, że Oglonek i Oglonka ogromnie się dziwili. Na ołtarzach wszystko się świeci, błyszczy, a do tego pełno śpiewania, grania, dzwonienia, światła i kadzidła. Tylko im to jedno przeszkadzało, że o piesku ciągle musieli myśleć.

— Biedny Zuchelek, nie widzi, nie słyszy tego wszystkiego? Dla czego mu tatuś kazał leżeć przed kościołem, kiedy Oglonka także nie umie zmówić całego pacierza? Może mu się jeszcze stać coś złego i dopiero...

Za to wielka była uciecha, kiedy po nabożeństwie wyszli z kościoła, a piesek zaczął się radować: skakał, lizał wszystkim ręce, a Oglonkę liznął nawet w usta parę razy językiem.

— Zuchelek, statkuj, statkuj! — wołały dzieci.

Ale piesek dobrze się wyleżał przed kościołem, wytęsknił i teraz ani myślał statkować. Różne inne dzieci, co tam także były w kościele, z wielką ciekawością patrzyły na to, że piesek taki wesoły, zręczny, dobry.

Po powrocie z kościoła do chaty w boru

przez długi czas miały sobie dzieci co opowiadać. Każde z nich inne rzeczy widziało i opowiadało drugiemu, jak to było. Złote anioły ze skrzydłami, święci z brodami i w długich sukniach, obrazy przerozmaite, chorągwie, ogromne świeczniki, wielki żyrandol ze świecących szkielek, różnokolorowe szyby w oknach. — Wszystko to dzieci przez przypominały. Tylko Oglonek i Oglonka nie mogli zrozumieć tego, że tam w kościele, u szczytu ołtarza, widzieli także kilka wróbli.

— Moja matysiu, po co w kościele są wróble? — zapytała raz Oglonka.

— Głupia dziewczyno, tego jeszcze nie wiesz, że wróbel, kiedy może, wszędzie wleci?

— A z kąd się też na świecie bierze tyle ludzi i dzieci?

— Skoro ich Pan Bóg stworzył, to być muszą.

Nigdy się też te dzieci nie spodziewały, żeby taka moc psów była we wsi, a wszystkie jakieś odmienne, nie takie, jak ich Zuchelek.

— Żeby tak Wilczysko dostał się kiedy między tylu ludzi, psów, toby pewnie z tamtąd już nie wyszedł! — mówił do siostry Oglonek. — A matysia powiada, że w mieście na jarmarku bywa jeszcze daleko więcej ludzi.

— Ej chyba więcej nigdzie już być nie może! zawołała Oglonka.

Dziwiły się tak wszystkiemu owe dzieci wychowane w lesie.

Ale kiedy potem przez całe lato, prawie w każdą niedzielę, chodziły z rodzicami do kościoła, przestały się też dziwić. One z początku myślały, że dosyć wejść w las, a Wilczysko już gdzie czai się i gotów pożerać. Ojciec zaprowadził raz syna i córkę do smolarni, która była blisko o pół mili od chaty — i nie się złego nie przytrafiło. Innym razem wziął ich ze sobą na tak zwaną piłę, gdzie wyrabiano tarcice, gonty. Otrząskwały się dzieci i już nie miały takiego strachu przed Wilczyskiem.

Nadeszła jesień, a jakoś pod koniec października, pewnego dnia rano, Oglon zabrał syna i poprowadził do wsi, gdzie miał bardzo długą rozmowę z nauczycielem. Stało wtedy na tem, że mały będzie musiał codziennie chodzić na naukę do szkoły. Mrowie przeszło siostrę, gdy się dowiedziała, co czeka brata; zalała się łzami i nie chciała go z domu puścić. Zuchelek widział te łzy, żale, i pośmuczał także.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI,

I.

ZAGADKA.

Każdemu stoję na drodze
I każdy mię szarpie srodze,
Każdemu się poddawam
I znów na miejsce stawam.

II.

SZARADA.

Ej, nie kładź w pierwsze ręki,
Bo nie żartem parzy.
Drugie, gdy dziatwa krzyczy,
Powtarzają starzy.
Że główka — trzecia druga
Zgadnie tę szaradę,
Ręczę, lecz uwaga
Za warunek kładę.
Wreszcie, by ją pomieścić
Między łatwiejszemi,
Dodam, że — wszystko
Jest na polskiej ziemi.

III.

* * * * *	Miasto w Galicyi.
* * * *	Część dnia.
* * *	Zaimiek.
* *	Przyimek.
*	Samogłoska.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 8

I.

- 1) Jenisej
 - 2) Amsterdam
 - 3) Nawa
 - 4) Oranje
 - 5) Lublin
 - 6) Buru
 - 7) Rodus
 - 8) Apeniny
 - 9) Ceylon
 - 10) Hekla
 - 11) Tanis
- Jan Olbracht.

Dobre rozwiązanie I łamigłówek z nr. 8 „Aniola Stróża” nadesłali: Jan Szulc z Poznania, Michał Chruszczyński, Stefania Kikut z Staregotargu i Franciszka Szramka z Starej Kiszewy.